

Nr. 23. *Z dnia 29 listopada 1903 r.*

Sezon zimowy w pełnym toku. Lista gości wykazuje niebywałą dotąd cyfrę 10.000. Tatry odziały się zewsząd grubym kożuchem. Wyjrzy skała z pod śniegu choćby z ciekawości, co się też dzieje na Bożym świecie, to jej wnet „kurniaw a" oczy zasypie i schować się pod odsienie musi. Wyjdzie słonko ponad wirchy, to góry się szklą, by je kto wrzącem srebrem oblał, zachodzi, to je pozapala jak świece kościelne, czasem wszystkie naraz, a czasem jedną po drugiej. A tak się palą te szczyty w słońcu, że człeka aż lęk bierze, by do cna nie stopniały w świetle, aż łuna bije od tego żaru. Dogasi je mrok wieczorny, to znów góry się stroją to na różowo, to na żółto, na zielono... tak przebierają w barwnych refleksach, jak dziewczyna chustki w kramie. I to tak z dobra dziwu. Już na Podhalu dobrze ciemno, a turnie jeszcze się stroją i stroją do późna w noc. Czasem ze skalnych koleb wiatr halny się porwie, to im te stroje pomięsza, włosy porozrzuca, oczy zasypie, sukienki dołem pomota i poszarpie, a w dodatku z nich się śmieje, ale cóż skoro na tego hulalię rady nijakiej niema, bo się gdzieś w czarnych gardzielach kryje i z nienacka wypada; a zawsze z takim krzykiem leci i tak gwałtownie. że się przed nim ustrzec nie sposób. Ale skoro z jesienną „lejbą" przeleci, to na dłuższy czas spokój. Stroją się wtedy góry, a ludziska patrzą i wołają: „Cud! cud!"

Tak jest i dziś; toteż górale zacierają dłonie z radości, bo góry ściągną luda jak na odpust i będzie „śrybła" dużo. Toż grają „gęślicki", rypią basetle, a juhasy w pięty się biją. „Uha! rozkosznie!"

I ciągną ludziska na skalne Podhale — a więc: szykowne w stroju i układzie warszawianki z grandezzą i pańskim polorem, ciągle powabne aż do rozrzutności. Nic też dziwnego, że oczy ku sobi zwracają i w kółkach towarzyskich prym wiodą. Za nimi królewiacy o wypchanych rublami kieszeniach, śmiertelnych wrogach tutejszych górali i handlarzy, toteż przechodzą one w Zakopanem cichy czyściec od góry do dna; ale jest fantazja, wre życie, po polsku się śpiewa — a to grunt! Zdarzy się, że kieszeń się wypróżni, życie straci jaskrawe barwy. Ha! przecież i „Tamerlan ongi ludzkości straszydło — dziśby sprzedawał futra i kazańskie mydło".

Mniejszej liczby gości dostarcza Galicja z powodów nader widocznych — ale oni tu gospodarzami, mającymi swój sejm, swoje koło polskie, swoją konstytucję, czy wolność „wzajemnego łbów rozbijania", swoją autonomję pracy dla Wysokiego Rządu, swoją akademję umiejętności, swoją sprawę chłopską, swoich „najserdeczniejszych" od swojej wiary, swoją rachubę szlachecką, streszczającą się w maksymie: jeźli trzech od dwóch odciągnąć nie możesz, to pożyczysz... od żyda" i swoje... pustki w kieszeni. Te prerogatywy wpływają naturalnie i na ich maniery towarzyskie, które jasno dowodzą, że im świeczka wyżej umieszczona, tem mniej światła daje, a oraz tę drugą, że: gdyby Kleopatra miała nos o jeden cal dłuższy, to dzieje świata zupełnie innym poszłyby torem.

Ha! może i lepiej będzie w naszym autonomicznym rządzie, którego właściwymi organami są cztery elementy: słońce — bo drogi naprawia i meliorację gruntów przeprowadza, woda — bo regulację rzek, ich spławność i wodociągi ma w referacie, powietrze — bo inspekcją sanitarną kie-

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 29 Listopada 1903 r.

ruje, ogień — bo skutecznie ustawę o budowie mieszkań wykonuje — może i lepiej u nas będzie, jeżli pomyślimy serjo o assymilacji kieszeni polskich z kieszenią żydowską. Wszak ci co już nad tem pomyśleli i to wykonali, jeżdżą czwórką, a taki n. p. pan na Kuźnicach nie rzadko prostą „furką“ góralską; ale dobrze mu tak, kiedy ścieżki żydowskie z przed ich domów za cenę złota wykupuje jedynie w tym celu, ażeby przede drzwiami żydowskiego sklepu figurę Matki Boskiej postawić.

Znałem urzędnika, którego jedynem marzeniem było, widzieć jeszcze raz przed śmiercią ulicę, przy której mieszkał; nie widział jej, jak mówił od czasu swej urzędniczej karjery, bo mu nie pozwalala delikatność skośno-okich pająków, odzianych w czarny chałat z jarmułką na głowie, ozdobną kręconym pejsem, których był ofiarą. Na zgromadzeniach przedwyborczych stawiał on kandydatom do stanu prawodawczego za obowiązek obywatelski starać się o przeprowadzenie obowiązkowego używania automobilów i noszenia broni palnej. Że Sejm przy układaniu budżetu o tem pomyśleć powinien, na to zgodzi się co najmniej dwie trzecie mieszkańców Galicji i Głodomerji wraz z W. Księstwem Krakowskiem.

Że Zakopane wnet będzie miało „swoich“ żydów to pewna; karczma stoi zawsze przy rozstajnych drogach — a Zakopane takich rozstajnych dróg w głowach swoich mieszkańców nawet ma dużo; a nie może być inaczej, skoro ludzie jedni są za p. Ch. drudzy za p. S. Są tacy, którzy idąc z różdżkami pokoju, starają się zwyczajną licytacją in minus jednych i drugich pogodzić, ale są i tacy co powiadają i słusznie, że toby wyglądało jak na weselu, kiedy Wojtek Chroniec stanie przed Wałętakiem i prosi „Bracie ustąp mi, zapłacem ci toniec“.

Lista gości przybyłych do Zakopanego.

od 9-go października do 20-go listopada 1903.

(Ciąg dalszy).

Andrzejewska Adela z dziećmi, z Rygi.
Dr Brzeziński lekarz (?)
Bojanowska Zofia z Kr. polsk., zakł. Chramca.
Czechowicz Wanda z Woyniłowa.
Dyakowski Bohdan literat, z rodz., z Warszawy.
Jeśmanowa Marya żona lekarza, z córką z Litwy.
Kaczkowska Klara z Krakowa.
Kwasiborska Wacława z matką, z Król. Polsk.
Kaupowicz Eugeniusz z żoną, z Litwy.
Konarzewska Henryka ż. fabrykanta. z Warszawy.
Marcinkiewiczowa Stanisława ż. urz. z dziećmi ze Lwowa.
Nawroczyńska Marya współprac. pism. warsz., z Warszawy.
Petenowa Eugenia z Wierzbowa, zakł. dr. Chramca.
Porowski Stanisław student z Kalisza.
Róg Karolina z Kościeliska.
Stablewska Gabryela córka obywatela, z Ks. pozn.
Skowroński Jan z Brzeznicy.
Tormańska z synem (?)
Zschech Adolf z Wrocławek.

Dlaczego Jasiek Bachleda oniemiał.

Napisał

Włodzimierz Sulima Popiel.

Pewnej niedzieli w ponurej szynkowni zakopiańskiej przy ul. Kościeliskiej, zebrała się gromada górali, którym przewodził wolowaty Wojtek od Rojów. Właściciel szynkowni, człowiek młody, ogorzały, uwijał się ustawicznie około swych gości, stawiając im blaszanki z „harą“, albo szklanice z piwem, lub też rachując się z odchodzącymi góralami. Średniego wieku góral siadłszy na ławie pod oknem zawodził na „swojskom nute“, a wędrowny jakiś grajek stojąc przy drzwiach, przygrywał mu do wtóru na gęślach. W całej izbie szynkowej było duszno i ciemno od dymu z fajek góralskich. Niedaleko szynkwasu, kilku młodych górali z piórami orlemi za kapeluszami spierało się o coś, wywijając ustawicznie toporkami i spluwając na podłogę — po każdym wypitym kieliszku.

A jo ci mówiem Josiek, co nie bees tam chodził! krzyczał głośno Maciek Jacina.

Obacys psi synu cy hawok nie pudem, odgryzł się Jasiek Bachleda. Grosa moc mom, a ze dziewucha za mnom pozira, to choćbyś co kciał robił, to z Józkom Gonsienicównom sie ozeni. A tobi psi synu wara od niej!

Zawiedzis jom chyba do truchły*) a nie do ontarza! krzyczał Maciek Jacina. Chybaby Maciek Jacina nie zył, coby Józke Gonsiewicównom broł taki chuderlawy kłop jok ty!

Słuchojże Mociek nie psygaduj, bo jok cie prośne!...

Ej Josiek pedam ci, wara s-tąd bo bee źle! i pogroził mu po pod nos toporkiem.

Towarzysze spierających się widząc, że zanosi się na bójkę, wzmięszali się pomiędzy kłótliwych, i rozerwali ich, popychając Maćka w jeden, Jaśka w drugi kąt szynkowni.

Kłótnia mimo tego nie ustawała.

Co chwila to jeden — to drugi podnosił pięście z toporkiem do góry, groził przeciwnikowi — i wyrzucał jakieś przekleństwa. Maciek Jacina chłopak rosły i urodziwy, wysłużony żołnież, był niemal postrachem dla słabszych od siebie kompanów, a przytem lis jakich mało. Gdzie nie mógł podołać swoją siłą, tam jego lisie podstępy cudów dokazywały. Nieraz, jak opowiadają, choć po kilku i kilkunastu brało się na niego, zawsze jakimś podstępem wyprowadził przeciwników w pole, a sam bez szwanku się wyjawił.

Jasiek Bechleda, wzrostu średniego, wątły, z twarzą dziecka, miał minę przebranego paniczyka za górala, to też kompani jego przezywali go „ciarachem“, cichcem zaś mówili, „co w Jośku pańsko krew płynie“.

Jasiek od dłuższego czasu zachodził do Józki Gąsienicównej, dziewuchy hożej i rumianej, córki bogatego gazdy a zarazem radnego.

Do Józki umizgał się też Maciek Jacina, ale że dziewucha podobała sobie Jaśka Bachledę, bo Jasiek i „pańskom gembe mioł“ i bogaty był — a przytem umiał mówić i śpiewać pięknie jak żaden z parobczaków, tedy na wszystkie konkury i afekta Maćka Jaciny, zdawała się dziewucha wcale nie zważać.

To było powodem, iż Maciek przez złość na Jaśka ustawicznie odgrażał się mu, iż prędzę Józkę zaprowadzi do truchły, aniżeli do ontarza.

Trafiało się często, iż Maciek podpity, rzucał się na swego rywala, ale zwykle w takich wypadkach stawali inni towarzysze po stronie słabszego Jaśka i osłaniali go przed silną pięścią rozsierdzonego rywala.

Niezgoda ta trwała między nimi dość długo, gdy pewnej niedzieli, spadły na Maćka jak grom — zapowiedzi Jaśka Bachledy z Józką Gąsiewicówną.

Hej mocny Boże! krzyknął Maciek, to ten psi syn chuderlawy Josiek — bee mioł Józke?

Hej wiera nie dom mu! Hej wiera nie dom mu!

Cały dzień pił Maciek ze zgryzoty na śmierć. Pił i klął ustawicznie, odgrażając się Jaśkowi, który nie wiedząc iż Maciek zapity siedzi w szyn, kowni, przyszedł właśnie z innymi na „hare“. i tu zastaje rozsierdzonego swego rywala Maćka,

*) Trumna.

Maciek zoczywszy wchodzącego Jaśka, przyskoczył co żywo ku niemu i począł przekleństwami witać swego rywala, wywijając mu nad głową swoją ciupagą.

Ale kampani Jaśkowi rozłączyli wnet dwóch kłótliwych, i starali się obóch jakim sposobem pogodzić.

Jasiek trzymany w kącie przez towarzyszy, nie przestawał kląć i lżyć swego rywala, gdy znowu Maciek pijany i wysilony szamotaniem się, usiadł na ławie przy szynkwasie i oddał się cały głębokiej zadumie.

Liczni nowi goście nawiedzali ustawicznie szynkownię, jedni wchodzili, drudzy wychodzili, ale dwaj rywale pozostali, gdyż jeden drugiemu ustąpić nie chciał.

Jasiek zaperzony, siedział na ławie i pił — kuli wielgij uciechy skroni zapowiedzi z Józkom. Maciek zaś zadumany siedział i wychylał raz po raz kieliszek — kuli frasunku.

Pockoj psi synu — mruczał pod nosem Maciek, — nie mogem tak, to zmogem Józke inacej. Hej! Nie kce mnie Józka, zrobiem tak co i Jośka nie zekce. — Hej wiera nie dom jej! Hej wiera nie dom jej!

Dziewucha i piekno je, chałupe mo, i psyodziewek je w sksyni, komus nie do nij jako nie mnie? Josiek głupi je i chuderlawy, a chocia pieknie mówi i śpiwo — i Józce sie s-tym spodobał i zwidział, to jo mu tak gembe zamkne co i do ksiendza nie psemówi. Hej wiera jo mu dom! Hej!

Po chwili zapadł Maciek znowu w głęboką zadumę, kiwał głową, mruczał, zda się, że coś planował — na Jaśkowom zgube.

Jasiek siedział w kącie — nieco uspokojony, i wodził wzrokiem po gościach szynkowni.

Od czasu do czasu wyrwało mu się jeszcze z ust jakieś przekleństwo, ale wnet spuścił głowę na dół i siedział cicho uspokajając się powoli.

Mówiono o nim powszechnie, że chociaż wzrostu małego i niepokaźny był, to za to w mowie i śpiewkach, nikt ani ze starszych gazdów, ani z młodych parobczaków, nie mógł iść z nim w zawody. Umiał mówić i śpiewać na s-renkowinach, na weselach i na chrzcinach — a jak się zeszli kiedy w szynku, to tylko Jasiek Bachledów a nie kto inny miał głos.

Zadumany w kącie Maciek wiedząc dobrze o tych przymiotach Jaśka, i wiedząc, że śpiewki i wymowa najwięcej zjednały Jaśkowi względów u Józki — myślał teraz tylko nad tem, jakimby tu sposobem można było zdziałać, żeby Jasiek nie mógł się więcej popisywać swoją wymową i śpiewkami.

— Hej pockoj niedojdo, dom jo ci dom! szeptał przez zaciśnięte zęby Maciek.

— Bees ty mioł Józke bees — hej!

W izbie szynkownej poczęło się przerzedzać. Pozostało tylko kilku młodych parobczaków i dwaj rywale.

Po długiem dumaniu wstał Maciek z ławy,

wyprostował się, splunął przez zęby, i postawiwszy kieliszek z całą siłą na szynkwasie, począł się przechadzać wielkimi krokami po izbie szynkownej.

Po chwili stanął, dał znać szynkarzowi, żeby podał „harę“, i rzekł do Jaśka Bachledy:

— Jaśku! bezco bedziemy sie wadzić, bez tom twojom dziwkę? Hej? Napijwa sie na zgode. — Nie mnie Józka Gonsienicówno, bo mnie nie hce i mnie nie miłuje, lacego bedziemy sie kleni? Pij Jasiek!

— A bo to jedno dziewucha na świecie? Ty Jośku bier sobi Józke, jo znojde sobi inkszom. Hej! Zdrów Josiek!

— Byłek psy wojsku roków tsy, a bo to mało dziewuch widziołek? Abo to nie scyzyły do mni zemby syćkie frojerki? Jo znojde sobi jesce tak

Zopłoć mi synkazu, co ci korcmę zdobię,
Całem gardłem śpiewom, a nogami drobię.,.

Cichojze Jasiek, przerwał mu opowiadający, nie śpiwoj tyla bo umzes!

Ale Jasiek dalej swoje:

Słonecko zachodzi, miesiącek wychodzi,
Tobie sie do Józki zalecać nie godzi,

Ale cichojze Josiek pedom ci — wołał Maciek — niek skończem mówić, bo jak bees tyla ksyceć to umzes!

Ty głupi Maćku, abo to prowda je? zapytał rozśpiewany Jasiek.

A juścić co prowda, odparł Maciek Jacina, — a jak nie wiezys, to ci powim, jako ksionc pedał na kazaniu.

Powidz nam powidz!! zawołali wszyscy chó-



WIDOK TATR.

kom dziewuche, co obacys, ze twojom Józke zakasuje Hej! Zdrów Josiek!

Inni parobcy będący w szynkowni, widząc, że dwaj rywale przychodzą do zgody, przysiedli się do kompanii Jaśka i Maćka, a nawet sam pan gospodarz szynkowni, przybliżył się do gromadki zgodnie rozmawiającej.

Teraz dopiero zaczęła się pijatyka na dobre. Podchmieleni biesiadnicy poczęli na wyścigi wyśpiewywać piosnki góralskie. Jasiek w złotym humorze płacił jak rzadko. Maciek zapity stał się wymownym jak nigdy.

Poczęto zapitego Maćka wypytywać o przygody wojskowe, co widział w świecie, a on opowiadał im ochoczo i cozaz bardziej zachęcał do picia.

Jasiek uradowany zgodą rywala, ustawicznie przerywał Maćkowi w opowiadaniu, nucąc jakąś nową piosenkę:

rem, a Jasiek rozciekawiony, przysunął się jeszcze bliżej opowiadającego Maćka. Maciek wychyliwszy kieliszek, łypnął z boku okiem na Jaśka słuchającego z otwartą gębą — i począł mówić:

Kiedy jesce żył ksionc Stolarcyk, pedał on raz na kazaniu, co kuzdy cłek jak si urodzi, to mo od Pona Jzusa juz psyznacone, kielo dni bedzi zył, i kielo słów mo w zyciu swojem wypedzieć. Hej!

Cłowik który duzo goda i śpiwo, to prędzyj tyćko wypowi co mioł psyznacone i musi prendzyj umzeć, a cłek który mało goda, lebo nic nie goda, to musi tak długo zyć, az wypowi to co mu Pambóg przyznacył. Hej!

Jasiek rozdziawiwszy usta i otworzywszy szeroko oczy na opowiadającego, nie przerwał teraz Maćkowi ani słówkiem, tylko siedział w miejscu jak przykusy.

A bacycie wy — mówił dalej Maciek — cemu sie Sabale zmarło? A bo to wicie, wiela z panockami si nagodoł, wypedział syćko co mu Poniezus policył, i nie obacył si nawet, kiedy ostatni słowo wypedzioł — i umarł. Hej!

Zeby był Sobała z panockami tyla nie mówił, toby pewnikiem jesce zył, bo mozęby jesce syć kiego nie wypedzioł. Hej! Hej!

Gromadka słuchających wlepiła oczy w opowiadającego Maćka, i żaden nie śmiał mu ani słówkiem przerwać.

Jasiek rozwarł jeszcze szerzej usta — i ani się nie odezwał.

Bees pił jesce Josiek? — zapytał po chwili Maciek.

Jasiek zaprzeczył skręceniem głowy, milczał dalej i patrzał głupio przed siebie.

Cóze nic nie godas, bees pił? — zapytał znowu Maciek.

Jasiek znów nie odezwał się ani słowem.

A możeś ty Jośku płony, abo co niksego?

Jasiek jak milczał tak milczał, zwiesił głowę i zadumał się głęboko.

Maciek Jacina zmiarkowawszy, iż podstęp mu się udał, i że głupi Jasiek będzie teraz zawsze milczał z obawy żeby swego ostatniego słowa w życiu nie wypowiedział, bo musiałby zaraz umrzeć, wychylił jeszcze jednego na dobranoc, i wyszedł rozweselony z szynkowni nucąc sobie półgłosem:

Nie śpiwoj ptasecku, bo ci to śpiwanie
Na dobre nie wyjdzie, jok Jośka kochanie.
Hejze Józko moja, jok bedzies wiedzioła
Że Josiek oniemioł, to mnie bedzies fcioła.

Jasiek Bachledów, posiedziawszy jeszcze w milczeniu chwilkę, wysunął się po cichu z szynkowni i pobiegł szybko ku domostwu.

Jasiek Bachledów oniemiał, gruchnęło po Zakopanem. Wodzili biednego Jaśka do klimatyki do doktora, zawieźli do Nowego-targu do fizyka, Jasiek jak był niemy tak został.

Zwoływali ze wsi okolicy znachorów i znachorki, odczyniali uroki, rzucali węgle żażące na ogień, Nie pomogło nic — Jasiek milczał dalej.

Sprowadzili do niego i Józkę Gąsienicównę, dawną kochankę, myśleli że na jej widok odzyska Jasiek mowę.

Dziewucha płakała, zawodziła, — ale Jasiek nie przemówił wcale.

A Maciek Jacina rad, że dokazał swego i że Jaśka Bachledów wywiódł w pole, — zaleca się teraz spokojnie Józce, która go zaczyna rada widzieć, bo o niemowie już „zabecyła".

I czekać tylko, kiedy ksiądz proboszcz wygłosi z ambony, że Maciek Jacina i Józefa Gąsienicówna „zabierają się do stanu małżeńskiego".

Nowy-targ w listopadzie 1903.



HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Dziś rano, przed wyjazdem moim w Paryżu. Julian, ujrzawszy mnie, był zdziwiony. Dowiadywał się, gdzie jadę: powiedziałem, że wracam do Szwajcaryi. Istotnie miałem ten zamiar, sądząc, że we własnym kraju będzie mi najlepiej i że nie wrócę tak prędko do Anglii. Niebawem zmieniłem zdanie i postanowiłem tu przyjechać; wiedziałem jednak, że pozbawiony zajęcia w hotelu, będę się czuł obcym w Londynie. Potem ja z kolei zapytałem Juliana, gdzie udać się zamierza; odpowiedział, że jedzie do Konstantynopola, mając tam przyjąć obowiązek w nowo zakładanym hotelu francuskim. Życzyłem mu powodzenia i rozstaliśmy się zaraz.

— Konstantynopol jest dla niego odpowiedniem miejscem pobytu — zauważył Racksole.

— Tak, tylko że znowu spotkałem go raz drugi — oznajmił Babilon.

— Gdzie?

— W Charing-Cross, parę minut zanim miałem przyjemność powitać pana. Dowodzi to, że Julian nie pojechał do Konstantynopola. On mnie nie spostrzegł, inaczej byłbym mu zrobił uwagę, że podróżując z Paryża do stolicy Turcyi, nie jedzie się zwykle *via* Londyn.

— Co za oszust: — zawołał Amerykanim — co za zdradziecki oszust!

XXII.

Piwnica z winem w hotelu Babilon.

— Wiesz pan co o przeszłości tego Juliana? — pytał Racksole, dolewając wódki do kieliszka.

— Nic zupełnie — odparł Babilon — od pana dopiero dowiedziałem się, że jego prawdziwe nazwisko jest Tomasz Jackson, lubo podejrzewałem, że „Julian" było przybranym psudonimem. Nie domyślałem się również, iż panna Spencer ma być jego żoną, chociaż zauważyłem, że ich stosunek był więcej poufały, niżeli upoważniały do tego obowiązki służbowe, pełnione przez nich w hotelu. Wiedziałem tylko o Julianie — z nawyknienia tak go mianować będziemy — że stopniowo stawał się coraz więcej wpływową osobistością w hotelu. Przyznać muszę, iż to najzręczniejszy, najsprytniejszy kelner, jakiego

spotkałem w życiu; umie zwłaszcza, nie ubliżając drugim, utrzymać godność swoją. Sądzę jednak, że te, szczegóły zbyt są ogólnikowe,. iżby mogły przyczynić się do usunięcia napotykanych obecnie trudności.

— Jakież to upatrujesz pan trudności?

— Czem naprzykład tłómaczyć przybycie jego do Londynu?

— To właśnie wyjaśnić łatwo bardzo.

— Przypuszczasz pan, że on pragnie sam oddać się w ręce policyi, czy też że nawyknienie łączy go tak silnie z pańskim hotelem?

— Ani jedno, ani drugie — odparł Racksole. — Julian zamyśla o spłataniu nowego figla.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem przekonany, że wchodzi tu w grę książę Eugenjusz. Wykradzenie nie powiodło się i Juljan zechce prawdopodobnie swój plan na nowo przeprowadzić, a może nawet w sposób radykalniejszy. Ale w tem miejscu kończą się wszelkie moje przypuszczenia.

— Niech pan nie zapomina — mówił Babilon — że Juljana stać na to, aby się posługiwał środkami najradykalniejszymi nawet. Dla niego i trucizna jest korzystną...

Racksole zerwał się z krzesła. O czem pan myślisz? Trucizna?... Nie! to niemożliwe. To stanowczo niemożliwe!

— Truciznę dodaje się niekoniecznie do potraw: można ją zmięszać z winem.

— Tym bardziej nie możliwe. Klucze od piwnicy przechowuje stale u siebie Habbard, a księciu usługuje przy stole stary Hans, pełniący także obowiązki podczaszego. Wierny sługa oddany swemu panu, spostrzegłby z pewnością, gdyby pieczęć butelki była naruszoną.

— Jakiego wina używa książę?

— Zwykle Romanée-Canti.

— Przypuszczam, że Juljanowi znanem jest to przyzwyczajenie. A co się tyczy naruszania pieczęci na flaszkach, to wiemy dobrze, jak zręcznie można to przy wprawie uskuteczniać.

Racksole zamyślił się.

— Wie pan, przyszła mi ochota zwiedzić piwnice hotelu Babilon. Nie byłem tam jeszcze.

— Jeśli to panu sprawi przyjemość, możemy pójść.

Piwniczny Habbard nie okazał najmniejszego zdziwienia, dowiedziawszy się o tym kaprysie i bez wahania wręczył klucze.

Długi korytarz, którym przeszli, kończył się kamiennymi schodami, wiodącymi do piwnic. Racksole odemknął ciężkie drzwi.

Charakterystyczny chłód wionął swym oddechem; znaleźli się u celu wycieczki.

Z tajemniczych mroków wychylały się niezliczone głowy butelek otulonych pyłem i kurzem, pod sklepieniami i we framugach drzemały głucho antałki, beczki, a migoczące blaski świecy, trzymanej przez amerykanina, wydobywały z cieni coraz nowe ich szeregi.

Racksole z podziwem rozglądał się wokoło; nigdyby nie przypuścił, że podziemia hotelu kryją takie bogactwa.

— Te piwnice, to majątek — mruknął Babilon.

Szybko przesunęli się pod spleśniałemi sklepieniami i doszli do małej framugi, w której złożone było wino, używane przez księcia Rüdesheim. Szklane drzwi wiodły w głąb do ostatniej piwnicy.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył Babilon.

Z za stosu butelek doleciał jakiś przytłumiony szmer. Racksole szybko jak myśl skoczył w tę stronę, świeca wypadłszy z ręki zagasła, zapanowały ciemności.

— No, teraz już mi nie ucieknięsz — rozległ się głos miljonera. Babilon liczył na pomoc.

— Ach, zgniotłeś mi całkiem rękę, puśćże — zadźwięczały w ciemności srebrne słowa i zaraz po nich pełen zdziwienia okrzyk Racksola: Nella!

— Nie dobrym jesteś mój ojcze! Trzymałeś mnie za mocno... Ale już przeczuwam, że chcesz się gniewać na swoją ekscentryczną córkę, powiem ci jednak coś bardzo interesującego.

Babilon zapalił świecznik i na tle butelek ukazała się zdziwionym oczom obu mężczyzn Nella w pomiętej i poszarpanej sukni.

— Co tu robisz? — zapytał surowo Racksole.

— Posłuchaj ojczulku — mówiła Nella rozcierając przygniecioną rękę, nie mogłam dzisiaj jakoś zasnąć i korzystając z pogodnego wieczoru, wyszłam na balkon, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Ale ta noc sprawiła głęboką ciszę i jakąś słodką melancholją przykuwała do siebie. Długi czas stałam bez ruchu, gdy w tem zwrócił moją uwagę jakiś człowiek, kręcący się po ogrodzie hotelowym. Zaciekawiona, zaczęłam go śledzić. Ten człowiek przesuwał się od lewego skrzydła hotelu w stronę ulicy Salisbury, a doszedłszy do rogu ogrodu, wskoczył na ogrodzenie i po niem przedostał się na ulicę. To mnie uspokoiło, bo dawało pewność, że podejrzane indywiduum nie wtargnęło do hotelu. Śmiałek szedł wolnym krokiem przez ulicę Salisbury, a spotkawszy policjanta powitał go słowami: „Dobry wieczór panu“ i poprosił o zapałkę; policjant uczynił zadość żądaniu, tamten zapalił papierosa i poszedł dalej. Wyciągając szyję, możesz, panie Babilon, z okna mego dojrzeć ulicę nadbrzeżną i rzekę. Widziałam, jak człowiek, o którym mowa, minął tę ulicę; potem, pochyliwszy się nad murem bulwarku rzecznego, rozmawiał z kimsiś; wreszcie zawrócił w stronę Westminsteru i straciłam go z oczu. Czekałam parę minut na jego powrót, ale nie pokazał się więcej, a mnie przyszła myśl genjalna, że należoby zbadać bliżej tę sprawę. Zeszłam ze schodów, udałam się na ulicę Salisbury i wówczas spostrzegłam tę kratę; Po drugiej stronie przystawioną była drabina, po niej łatwo mogłam przejść na małe podwórko. Okropnie bałam się, iżby kto z przechodzących nie widział mnie pnącą się po drabinie, ale nikogo wówczas na ulicy nie było; dopięłam więc celu, zniszczoną suknią okupiwszy przedsięwzięcie moje. Na palcach przeszłam podwórko i ujrzałam w murze tuż przy ziemi kratę żelazną, na jedną stopę długą, a czternaście cali szeroką. Ponieważ nie było innej w pobliżu, domyślałam się, że tajemniczy gość w podejrzanych celach przepiłował sztaby tej kraty; potrząsnęłam nią i wcale się nie zdzi-

wiłam, gdy część jej odpadła, zostawiając otwór dość duży, aby przezeń przecisnąć się mógł człowiek. Postanowiłam wejść tam, czego żałuję szczerze. Czy próbował pan kiedy, panie Babilon, przeciskać się przez ciasny otwór, mając spódnicę na sobie?...

— Nie miałem tej przyjemności — odparł, kłaniając się Szwajcar, i ruchem machinalnym wziął do ręki stojącą obok butelkę.

— Toś pan bardzo szczęśliwy — dowodziła niczem niezmieszana Nella. — Przez ciąg trzech minut, papo, sądziłam, że się uduszę w nieszczęsnej norze, mając ramiona wewnątrz a resztę ciała zewnątrz kraty. Wreszcie z rozpaczliwym wysiłkiem przeczołgałam się przez luft wentylacyjny i napół żywa wpadłam do tej piwnicy. Nie wiedziałam, co robić: czy czekać na tajemniczego gościa i w razie gdyby wejść próbował, przebić go moim scyzorykiem kieszonkowym, czy też wszcząć głośny alarm. Przedewszystkiem jednak położyłam na dawnem miejscu odpiłowaną kratę, zapaliłam zapałkę i zobaczyłam, że znajduję się jakby wśród gęstego lasu butelek. Zapałka zgasła, a nie miałam w zapasie drugiej. Usiadłam w kącie i rozmyślać zaczęłam. Zdecydowałam się czekać na zagadkowego intruza, kiedy posłyszałam kroki, a potem głosy wasze. Przyznaję, że spotkanie z wami, zwłaszcza obecność pana Babilona, wprawiła mnie w kłopot. Nie miałam zamiaru przyczyniać wam strachu, przeciwnie chciałam uprzedzić panów o całem zajściu, gdyś mi, papo, gwałtownością swoją pomieszał szyki. Czy istotnie oddychałam tak głośno, że tem zwróciłam na siebie twoją uwagę?

Kiwnięciem głowy Racksole odpowiedział na pytanie córki i przez chwilę zapanowało w piwnicy głuche milczenie.

— Nello, meje dziecko! — rzekł wreszcie milioner — jesteśmy ci bardzo wdzięczni za twoje sztuki gimnastyczne; teraz jednak sądzę, że lepiej zrobisz, idąc położyć się do łóżka. Trzymam zakład o ostatniego dolara, że będziemy tu mieli niemiłą przeprawę.

— Jeśli to prawdziwy złodziej, takbym rada go zobaczyć, papo! — prosiła Nella. — Nie widziałam jeszcze złodzieja, złapanego na gorącym uczynku.

— To niezwykła kradzież, moja droga; to coś gorszego od kradzieży.

— Cóż takiego? — zawołała. — Morderstwo? Podpalenie? Bomba z dynamitem? Jakiż świetny program;

— Pan Babilon uwiadomił mnie, że Juljan znajduje się w Londynie — oświadczył milioner spokojnie.

— Juljan! — powtórzyła, przybierając odrazu poważny ton mowy. — Zagasić światło! — i pobiegłszy do świecznika, przykręciła kranik, pogrążając piwnicę w ciemności.

— A to po co? — pytał ojciec.

W razie, gdyby powrócił, światło mogłoby go odstraszyć — rzekła Nella. — Wszak taki obrót rzeczy nie byłby pożądany.

— Wcale nie pożądany, panno Racksole — przytwierdził Babilon, brzmieniem głosu zdradzając uwielbienie dla roztropnej dziewczyny; odczuwało to z dumą ojcowskie serce Racksola. (Ciąg dal. nast.)

KRONIKA.

Bratnia pomoc we Lwowie odbyło się walne zgromadzenie członków Tow. „Domu zdrowia" w Zakopanem, grupy „Czytelni akademickiej" lwowskiej, na którem udzielono tymczasowemu zarządowi absolutorjum i wybrano nowy zarząd, w skład którego weszli: Grużewski Jerzy, przewodniczący, Nowakowski Tadeusz, sekretarz, Nowak Jan, skarbnik. Do komisji szkontrującej wybrano: Władysława Zabawskiego i Józefa Zaleskiego. Przy tej sposobności zwracamy uwagę, że wszelkie datki na „Dom zdrowia" można wysyłać pod adresem zarządu grupy „Czytelni akademickiej" we Lwowie. Wpisowe członków wynosi 2 kor., wkładka roczna również 2 kor. Członkowie wspierający opłacają rocznie najmniej 20 kor.

Za spokój dusz Poległych Uczestników powstania listopadowego, odbyło się w sobotę d. 28-go listopada 1903 o godz. wpół do 9-tej w kościele parafialnym w Zakopanem Nabożeństwo Żałobne staraniem Tow. gimn. Sokół.

Poczta otwarta od 8-ej rano do 12-ej w poł. i od 2-ej do 6-tej popoł., w niedzielę od $8\frac{1}{2}$ do $11\frac{1}{2}$ rano i od 3 do 4 popoł. W niedzielę i święta w godzinach popołudniowych nie można nadawać przesyłek pocztowych i ani odbierać, ani nadawać przekazów pieniężnych. **Telegraf** otwarty jest od 7-ej rano do 9-ej wieczór bez przerwy. **Telefon** funkcyonuje w tych samych godzinach, co i telegraf. **Listy roznoszone są** o 8-ej rano i 4-ej popoł. **Paczki rozwozi się** o 8-ej rano i o 4-ej popołudniu. Za rozwożenie paczek pobiera się opłatę: od paczki do $1\frac{1}{2}$ kg. 6 hal., do 5 kg. 10 h. do 10 kg. 20 hal, nad 10 kg. 30 hal.; jeśli jest kilka paczek bierze się jedną należytość od najcięższej, a od reszty po 6 hal. bez względu na wagę.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	19/11	20/11	21/11	22/11	23/11	24/11	25/11
Termom. such.	7·6	8·9	1·3	—1·4	0·8	7·2	2·0
„ wilg.	7·0	6·9	0·3	—2·0	0·2	5·4	1·8
Ozon	1	5	14	14	14	14	14
Term. maxim.	24·9	27·8	24·2	20·9	25·1	32·2	27·4
„ minim.	14·9	15·2	14·8	13·0	11·4	14·9	15·1
Term. na bar. .	10·9	11·3	5·3	6·1	5·9	10·7	9·4
Barometr . . .	693·8	694·0	683·5	684·9	692·2	697·3	694·9
Kierun. i szyb. wiatru . . .	EEN2	NNW4	NNE7	NWW6	NNW6	NNW0	SS2
Stop. zachmurz.	9kłęb.	10kłęb.	10 mgl.	10 mgl.	10 mgl.	7 kłęb.	10 gml.
Wysok. opadu	0	0·3	4·1	4·4	24.2	5·9	0·4
Uwagi	pogod	deszcz.	śnieg	śnieg	śnieg	deszcz.	śnieg

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.